

* * *

– Czy twój tata miał do ciebie zaufanie? – zaczął niewinnie Mo, kiedy następnego dnia rano jechali do szkoły.

– Oczywiście – zachnął się ojciec. Po wczorajszej awanturze miał jeszcze zły humor.

– A czy to nie przechodzi w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie? – Mo z pełną rozwagą użył ulubionego argumentu ojca.

– O co ci chodzi? – Ojciec nie mógł uwierzyć w nagłą zmianę chłopca.

– Bo widzisz – Mo starannie dobierał słowa – nie chcę być traktowany jak małe dziecko.

Ojciec nic nie odpowiedział. Mo niezrażony kontynuował.

– Należy mi się odrobina samodzielności – ciągnął. – Chciałbym sam wracać ze szkoły.

Ojciec wbił w niego ciężkie spojrzenie.

– Porozmawiam o tym z matką – zgodził się wyjątkowo łatwo.

– Tak jak wczoraj? – Mo postanowił nie pozostawiać niczego losowi. – Kolejnej rundy może nie przeżyć.

Ojciec gwałtownie zatrzymał samochód.

– Posłuchaj. – Odwrócił się w jego stronę. W samochodzie zaległa gęsta cisza. – Tak ci się śpieszy do samodzielności? Proszę bardzo. Od zaraz!

Otworzył szeroko drzwi samochodu.

– Jak się nią już znudzisz, daj znać – powiedział i odjechał z piskiem opon.

Mo, zaskoczony tak łatwym zwycięstwem, stał przez chwilę w wianuszkach błękitnych spalin.

Rozejrzał się dookoła, po czym ruszył w kierunku parku. Po drodze kupił jeszcze małe obwarzanki nawleczone na sznurek. Usiadł pod kasztanowcem i zamknął oczy. Delikatny szum liści i dyskretny gwar parku sprawiły, że zasnął. Obudziła go, całując w policzek, Te.

– Dzień dobry, śpiący rycerzu. – Mo rozpoznałby ten uśmiech na końcu świata.

Kiedy szli w kierunku parku, Mo przyjrzał się Te. Nauczona wczorajszym doświadczeniem, zamieniła atlasową dystynkcję na proste zielone rybaczki. Na ramieniu dźwigała ogromną, nawet jak na nią, torbę z plecionych konopnych sznurków. Jej duże prostokątne oka przywodziły chłopcu na myśl sieć rybacką. Wrażenie potęgowały przychepione do torby drewniane ozdoby w kształcie meduz i ryb.

– Co chcesz dzisiaj złowić? – zapytał, kiedy zbliżali się do parku.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała Te, nie odwracając głowy. – Trochę dobrego humoru, odrobinę zapomnienia, może nieco szczęścia.

– To ostatnie chyba wyginęło w naszych stronach. – Studził zapał Te chłopiec.

– Nie szkodzi, jestem wytrwałym i cierpliwym rybakim. – Te nie dała się zbić z tropu. – Trzeba tylko wiedzieć, gdzie zarzucać sieć.

Kiedy dotarli na polanę, przystanęli na chwilę przy starym szałasie.

– Naprawiamy. – Mo poprawił ręką kilka gałęzi. Nie na wiele się to zdało.

– Budujemy nowy – odpowiedziała Te, patrząc na chłopca. – Tam – pokazała podbródkiem w stronę ich wczorajszego odkrycia.

Mo pochylił się i wyjął z szałasu wianki, które wczoraj uplotła Te.

– Te i Mo – powiedział, wkładając je na głowę najpierw dziewczynce, a potem sobie.

Ruszyli w kierunku zapomnianego pawilonu.

Kiedy stanęli nad brzegiem jeziora, Mo miał już za sobą jazdę na tyłku po urwisku. Z zazdrością patrzył na Te, która dzisiaj zachowywała się tak, jakby urodziła się w tym gąszczu. Kiedy dotarli nad jezioro, słońce wypuściło już swoich zwiadowców pomiędzy liście.

– Gorąco. – Mo otarł pot z czoła.

– No to na co czekasz? – Te, ku przerażeniu Mo, jednym ruchem zrzuciła rybaczki i bluzę. Stała teraz przed chłopcem w kostiumie kąpielowym, rozpiętym na jej chudych barkach.

– Ale ja... – Mo zrobił parę kroków do tyłu. Zachwiał się i omal nie runął do wody.

– Rób, jak chcesz. – Te zdawała się nie widzieć wrażenia, jakie wywarła na chłopcu. – Ale musimy zbudować nowy szałas.

Chłopiec bez słowa skinął głową. Niechętnie zrzucił marynarkę i zdjął krawat. Parokrotnie rozpinał i zapinał koszulę, ale nie zdecydował się jej zdjąć. Dziewczynka, widząc jego wahanie, pociągnęła go mocno za rękę.

– Idziemy – powiedziała.

Poszukiwania miejsca na nowy szałas rozpoczęli od bezpośredniego sąsiedztwa wodospadu. Niestety dzungla zdziczałego ogrodu botanicznego zazdrośnie strzegła każdego skrawka miejsca. Plonem ich poszukiwań była tylko jedna ławka i marmurowy posązek antycznego bóstwa z ułamaną ręką. Ale nigdzie nie znaleźli dogodnego miejsca na szałas.

– Te, już nie mogę – jęczał Mo. Pot lał się z niego strumieniami. Koszulę miał przyklejoną do ciała, a na

węlnianych spodniach podróżowało kilkanaście zadowolonych z siebie roślin.

– Daj mi parę minut. A ty zdejmij to wszystko. – Te pokazała na jego koszulę i spodnie.

Zanurzyła się na chwilę w gąszczu. Kiedy wróciła, miała w ręku spódniczkę z liści bananowca.

– Mo! – zawołała. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – głos Mo rozległ się gdzieś za jej plecami.

Obróciła się i rozejrzała. Z zarośli wystawała tylko głowa Mo. Te podała mu spódniczkę z bananowca.

– Mam to włożyć? – Mo wytrzeszczył oczy.

Bez przekonania wziął spódniczkę do ręki.

– Odwróć się – powiedział do Te.

Dziewczynka usłyszała szum krzaków i głos Mo.

– Gotowe.

– Rewelacyjnie! – Te z zachwytu klasnęła w dłonie.

Mo stał niepewnie, przestępując z nogi na nogę. Spódniczka z liści odkryła jego blade, pokryte gdzieś piegami ciało. Wydawało się, że rumieniec z jego twarzy zaczyna powoli wpełzać na ramiona i piersi.

– Dobra – Mo postanowił odwrócić uwagę od swojego zakłopotania – teraz gdzie?

– Skoro nie można na ziemi – Te zadarła wysoko głowę – trzeba spróbować tam.

Mówiąc to, wskazała ręką w stronę dachu pawilonu.

Mo nabrał głęboko powietrza w płuca. Wiedział, że Te jest uparta i nie daje się łatwo przekonać. Ale ta jej propozycja wyglądała na czyste szaleństwo.

– Może powinniśmy się zastanowić? – Mo ze strachem patrzył w górę.

– To ty się zastanawiaj – Te już podjęła decyzję – a ja zaczynam budowę.

– Poczekaj! – Mo, śmiesznie poruszając swoją nową spódniczką, ruszył za nią.

Razem dotarli do rosochatego olbrzyma, pokrytego głęboko pobrużdżoną korą.

– Tutaj – powiedziała Te i bez wahania zaczęła wspinaczkę.

Mo, ciągle nieprzekonany, podążył za nią. Już parę metrów nad ziemią zaczęło mu się kręcić w głowie. Przywarł mocno do drzewa.

– Nie patrz w dół – gdzieś wysoko, spośród liści, dotarł do niego głos Te. – Myśl o mnie.

Nie podejrzewała, że od myślenia o niej Mo kręciło się w głowie jeszcze szybciej.

– Idziesz? – Te dotarła już prawie do czubka drzewa. Stamtąd obserwowała poczynania Mo.

Chłopiec powoli ruszył do góry. Po długiej chwili wyłonił się wśród gałęzi.

– Jestem – powiedział, sapiąc głośno.

Ale nie usłyszał odpowiedzi Te. Zdziwiony podniósł głowę. Te siedziała nieruchomo, wpatrzona przed siebie. Mo podążył za jej spojrzeniem. Zapomniał o strachu i zmęczeniu. Kopała pawilonu była na wyciągnięcie ręki. Drzewo, na którym siedzieli, nie zdążyło jeszcze do niej dotrzeć. Nad ich głowami połyskiwała tafla łukowato wygiętego szkła. Lazur nieba, jakby zdziwiony nieoczekiwaną przeszkodą, rozlał się na niej szeroko, jak rzeka, kiedy trafi na zaporę. Przez falę błękitu przebijały się promienie słońca, wyczarowując na szkle

literę nieznanego pisma. Mo wodził po nich wzrokiem, jakby chciał odczytać zdania dawno wymarłego języka. Poniżej kopuły rozciągała się nieco senna kraina wierzchołków drzew. Tu nie widać było drapieżnej rywalizacji, która toczyła się na dnie lasu. Drzewa wystawiały leniwie twarze do słońca, rozkoszując się ciepłem i świeżym powietrzem. Mo rozejrzał się dookoła. Siedzieli w rozległej koronie drzewa, bezpieczni wśród grubych, rozchodzących się symetrycznie od pnia gałęzi. W dole niebiesko połyskiwało jeziorko. Natarczywy szum wodospadu zmienił się teraz w unізony szept. Mo zmrużył oczy. Otworzył je po chwili szeroko, kiedy usłyszał, że Te schodzi na dół.

– Nie możemy tu chwilę posiedzieć? – zapytał niešťczęśliwy.

– Zostań, jeśli chcesz, ja muszę zejść. – Te również nie wyglądała na zadowoloną.

Mo pokiwał ze zrozumieniem głową. Nauczył się już nie zadawać krępujących pytań.

Kiedy nieobecność Te zaczęła mu doskwierać, ruszył w dół. Gdy był na wysokości wodospadu, usłyszał z dołu wołanie Te.

– Skręć w prawo, Mo! W prawo! – Dziewczynka dawała mu z dołu znaki.

Nie zastanawiając się zbyt długo, Mo opuścił przyjazny pień drzewa, by po plątaniu gałęzi dotrzeć w pobliże wodospadu. Kiedy stanął nad jego brzegiem, zawroty głowy wróciły. Pędzące w dół kaskady wody zamknięte małym jeziorkiem kojarzyły się Mo z pośpiesznym pociągiem, z którego wysiadł maszynista.

Nie bardzo też wiedział, dlaczego Te chciała, aby tu dotarł. Wpatrywał się w nią intensywnie. Dawała mu jakieś znaki ręką. Zaraz, zaraz... Mo zamarł nad brzegiem strumienia. Te najwyraźniej chciała, żeby skoczył w dół. Mo nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale gestykulacja Te nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Stała na kamiennym murku i usiłowała przekrzyczeć wodospad. Teraz do Mo dotarły jej słowa:

– Skacz, Mo, skacz.

Mo zamknął oczy. Miał nadzieję, że kiedy je otworzy, będzie siedział spokojnie na dole obok Te. Niestety, nic się nie zmieniło. Te przysłoniła dłonią oczy i wpatrywała się w niego w sposób, który sprawiał, że Mo wiedział, iż nie ma wyjścia. Podniósł się powoli na drżących nogach. Stanął nad brzegiem. Jezioro w dole wydawało mu się nie większe od jaspisowego pierścionka mamy. Podniósł głowę. Jasna kolumna światła spływała z dachu prosto w zieloną toń jeziora, jakby chciała wskazać Mo drogę. Te patrzyła wyczekująco. Mo zbliżył się do skraju wodospadu, tak że palce muskały już wodę. Rozłożył szeroko ramiona. Zamarł na chwilę. Kiedy tak stał nad brzegiem wody w swojej spódniczce, otoczony roztańczonymi kroplami wody, wyglądał jak wielki drapieżny ptak o bajecznie kolorowym upierzeniu. Nie patrzył w dół. Jego oczy zdawały się nieobecne. W pewnym momencie lekko ugiął nogi w kolanach i skoczył. Wydawało się, że leci zawieszony w mlecznej poświacie sączącej się z dachu. Kiedy jego głowa pojawiła się wśród liści lilii wodnych, Te odetchnęła z ulgą. Jedną z nich zawiesiła się Mo na uchu. Dziewczynka zza

pleców wyjęła wieniec z czerwonych kwiatów. Kiedy stanął na brzegu, Te zawiesiła go na jego szyi.

– Bałeś się? – zapytała.

Mo bez słowa kiwnął głową.

– Naprawdę myślałeś, głuptasie, że pozwolę ci skoczyć, zanim sama nie sprawdzę tego jeziora? – spytała.

Mo dopiero teraz zauważył, że kostium Te i jej włosy są mokre. Pokręcił przecząco głową.

– Naprawdę myślałaś, że dla ciebie mógłbym się przed czymś zawahać? – odpowiedział.

Te odsunęła się na parę kroków. Popatrzyła się na Mo ubranego w zieloną spódniczkę, czerwony wieniec na szyi, z blad różową lilią za uchem i powiedziała czule:

– Mo, ty po prostu zakwitłeś miłością.

Chłopiec uśmiechnął się promienie. Podszedł do swojego plecaka i wyjął z niego sznur precelków.

– To mój wieniec dla ciebie – powiedział, wieszając go na szyi Te.

Usiedli na kamiennym murku. Te oparła się o plecy Mo i bez troski zanurzyła nogi w wodzie.

– Podaj mi torbę – poprosiła po chwili.

Kiedy grzebała w jej wnętrzu, Mo zainteresował się drewnianymi rybami.

– Śmieszne – powiedział, patrząc na ich szeroko otwarte pyszczki. – Zupełnie, jakby chciały gdzieś popłynąć.

– Uwolnij je. – Słowa Te dotarły do Mo dopiero po chwili.

– Słucham? – zapytał, podnosząc brwi wysoko do góry. – Co mam zrobić?

– Uwolnić je – powtórzyła Te cierpliwie. – Wypuścić je do wody.

– Przecież one są drewniane. – Mo nie był pewien, czy Te nie kpi sobie z niego.

– Jesteś pewien? – Odpowiedź Te utwierdziła Mo w przekonaniu, że to żart.

– Przecież ich dotykałem, patrzyłem na nie. – Mo wolał, żeby ta rozmowa już się skończyła.

Ale Te ani myślała ustąpić.

– Spróbuj – zachęcała chłopca. – Rzeczy nie są takimi, jakimi wydają się na początku.

Mo bez przekonania wziął do ręki torbę. Ryby wpatrywały się w niego martwymi oczami z błyszczącej masy.

– Uwierzyłeś mi, skacząc z wodospadu – Te położyła mu rękę na ramieniu – teraz ja wierzę w ciebie.

Mo niepewnie zanurzył róg torby w wodzie.

– Nie tak. – Te pokręciła z niezadowoleniem głową. – Stań szeroko i rzuć nią daleko, na głębie.

Mo westchnął głęboko. Niewątpliwie dzisiaj Te wystawia go na wyjątkowo ciężką próbę.

– Jak trzeba, to trzeba – powiedział do siebie.

Zamachnął się i wrzucił torbę do wody, trzymając jedną ręką za jej pasek. Nagle w wodzie zakotłowało się. Mo, ku swojemu zdumieniu, zobaczył połyskujące rybnie grzbiety i ogony.

– Brawo, Mo, udało się! – krzyczała Te.

Mo powoli wyjął torbę. Trzepotała się na niej jeszcze mała przestraszona rybka. Mo wypłatał ją delikatnie i wypuścił do wody.

– I co teraz? – Patrzył to na pluskające ryby, to na Te. – Czy one wrócą do torby?

– Jeśli tylko będziesz tego chciał, Mo. – Te podała mu rękę. – Teraz ty jesteś ich rybakiem.

Mo pokiwał głową. Patrzył na pływające ryby, a do głowy przychodziły mu tysiące pytań.

– Chodź, dokończymy nasz szałas. – Te zauważyła jego rozterkę. – A one niech jeszcze trochę popływają.

Z niemałym trudem udało im się wciągnąć na górę znaną ławkę i posążek antycznego bohatera z odłamaną ręką. Siedzieli potem na górze, w milczeniu patrząc na wędrówkę słońca po niebie. Dżungla oddychała głęboko, niosąc ciepły powiew tropikalnego popołudnia. Kiedy schodzili z drzewa, Mo z żalem patrzył na ich niknący za gałęziami azyl.

– Szkoda – powiedział, kiedy już stali na ziemi.

– Przecież jutro tu wrócimy, prawda? – Te spojrzała na Mo badawczo.

Mo nie odpowiedział. Zdjął spódniczkę i zaczął powoli kompletować garderobę. Oczyszczenie spodni i marynarki, które pod jego nieobecność weszły w komitywę z zielonymi pnączami, nie było łatwym zadaniem. W tym czasie Te przyglądała się uwolnionym przez Mo rybom i zapisywała coś w wyjętym ze spodni małym zeszytiku w szkocką kratę.

– Co tam piszesz? – zainteresował się Mo.

– Tajemnica. – Te wstała i pocałowała go w policzek.

Ruszyli w powrotną drogę. Kiedy Mo otworzył, jak tylko mógł najciszej, drzwi mieszkania, zauważył stojącą w przedpokoju mamę.

– Nareszcie. – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Dobrze, że zdecydowałaś się dzisiaj wrócić.

Mo zareagował z udanym oburzeniem, odparowując:

– Przecież umówiłem się z ojcem.

– O tym też musimy porozmawiać. – Mama czuła, że przestaje panować nad sytuacją. – Czy to oznacza, że codziennie będziesz przychodził tak późno?... I w takim stanie – dodała, krytycznie mierząc wzrokiem to, co zostało ze szkolnego mundurka Mo. – Zdejmuj to natychmiast!

Mo przebrał się w pokoju, odczekał, aż mama nieco się uspokoi, i udał się z misją mediacyjną. Wszedł do kuchni, podszedł do mamy i otarł się o jej plecy jak kot. Był to jeden z gestów, które stanowiły ich wspólną tajemnicę.

– Nie wykorzystuj mojej miłości. – Z tonu głosu mamy Mo wywnioskował, że najgorsze już minęło. – Boję się o ciebie, Mo.

– Niepotrzebnie. – Chłopiec wygodnie usadowił się na kredensie. – Mojej edukacji, jeśli o to ci chodzi, nic nie zagraża. Wręcz przeciwnie, nabrała ona niezwykłego tempa.

– Chcesz powiedzieć, że te zielone ślady na ubraniu to efekt wizyty w szkolnej czytelnicy? – mama nie podzielała entuzjazmu Mo spowodowanego jego niespodziewanym zainteresowaniem nauką.

– Wiesz – Mo przypomniały się słowa Te – rzeczy nie zawsze są takimi, na jakie wyglądają.

– Wiem – mama nie zdawała się być tym pocieszona – zazwyczaj są dużo gorsze.

– Mówisz o wczorajszym wieczorze? – Mo poczuł, że popełnił niezręczność, zaraz po tym, jak to powiedział.

Mama zawahała się na moment. Odwróciła się plecami do Mo i powiedziała:

– Mówię o życiu, Mo. O życiu – powtórzyła, po czym podejrzenie głośno zaczęła przestawiać garnki na kuchence.

Trwało to dłuższą chwilę. Mo cierpliwie czekał, wiedząc, że w takich sytuacjach nie należy przyspieszać biegu wydarzeń. Mama jeszcze przez parę minut wycierała nieistniejące kurze w swojej perfekcyjnie wysprzątanej kuchni. W pewnym momencie zatrzymała się ze ścierką w ręce.

– No dobrze – powiedziała zrezygnowana. – Obiecuj mi tylko, że nie wdasz się w jakąś awanturę.

– Awanturę? – W głosie Mo brzmiało szczere zdziwienie. – Jaką awanturę? Chodzi mi tylko o odrobinę swobody, o nic więcej.

– Tak, tobie chodzi o swobodę – garnki na kuchni znowu zaczęły głośno podskakiwać – a ojcu...

Mo błyskawicznie znalazł się przy mamie.

– A ojcu? – spytał.

– A to już nie twoja sprawa! – ofuknęła Mo mama. – Załatwiłeś już sobie wolność? To jedz obiad!

– Chodzi mu o kontrolę, tak? – Mo nie pozwalał się zbyć. – Nad tobą, nade mną, nad każdym...

– Mylisz się. – Mama protestowała bez przekonania. – Chodzi mu tylko o nasze dobro. Nie chcę o tym więcej mówić.

„Na pewno myśli, że niczego nie widzę” – pomyślał Mo, kiedy wychodził z kuchni.

„Mój mały Mo widzi i rozumie coraz więcej – pomyślała mama, kiedy za chłopcem zamknęły się drzwi. – Nawet nie zauważyłam, kiedy tak wydorósł”.

Spojrzała na kalendarz Towarzystwa Charytatywnego. Powędrowała wzrokiem po datach i zatrzymała się na tej oznaczonym niewielkim, niemal niewidzialnym ptaszkiem.

– To niczego nie zmieni – powiedziała do siebie półgłosem. – Już za późno.

W tym czasie w swoim pokoju Mo na małym kalendarzyku wpatrywał się w tę samą datę.

– Wszystko się może zmienić – odliczał w pamięci dni. – Na nic jeszcze nie jest za późno.

Rano ciągle jeszcze pamiętał o wieczornej rozmowie. Postanowił swoimi przemyśleniami podzielić się z Te. Dziewczynki nie było jeszcze pod drzewem. Rozczarowany Mo czekał już dobre pół godziny. Niepokojnie rozglądał się dookoła, bojąc się spotkania z kolegami ze szkoły. Wypatrywał jakiegoś znaku, oczami przeszukiwał park w poszukiwaniu starszej pani lub przynajmniej Starej Ryby. Wszystko na nic. Samotnie ruszył w kierunku ogrodu. Szedł powoli przez osieroczone z radości podwórka. Kiedy dotarł do muru, stanął bez ruchu. Miał poczucie, że wchodząc samotnie do ogrodu, łamie ich niepisaną umowę. Mimo wątpliwości wdrapał się bez przekonania na wierzchołek muru. Kiedy już miał opuścić nogi, uderzyła go niezwykła cisza. Ogród, zwykle wydający tysiące odgłosów, zamarł

w milczeniu. Patrzył oczekująco na Mo, jakby wypatrując kogoś jeszcze. Chłopiec zauważył tę wyczekującą postawę.

– Dzisiaj jestem sam – rzucił głośno w powietrze. – Sam jak palec.

Najbliższe mu drzewa zaszumiały z dezaprobatą. A może tak mu się tylko zdawało. Siedział na murze, coraz bardziej pograżając się w niewesołych myślach. Nie miał pojęcia, co robić dalej. Wąski pasek dwóch cegieł oddzielał dwa światy Mo. Jeden z nich, poznany i oswojony, kusił swoją przewidywalnością. Wystarczyło zejść z muru, poprawić mundur, jakby nigdy nic wejść do szkoły głównymi drzwiami, usiąść w ławce i czekać. Całe jego życie jest już rozpisane na dni, miesiące i lata. Skodyfikowane, zmierzone i policzone chroniło przed nieprzyjemnymi konsekwencjami samodzielnych wyborów. Przez głowę Mo przeleciały obrazy szkolnej klasy, jej łatwej do odczytania mapy wpływów i czytelnych podziałów. Wiedział, gdzie przebiega linia frontu i gdzie czai się nieprzyjaciel, a gdzie może znaleźć sojuszników.

„Właśnie – ta ostatnia myśl zburzyła sielankowy obraz szkoły – czy ja w ogóle mam tam sojuszników?”

Poczuł się strasznie samotny. Patrzył na ogród, jakby ten miał mu pomóc w znalezieniu odpowiedzi na dręczące go pytania. Mo czuł, że wątpliwości obsiadły go jak wielkie czarne ptaszyska. Kiedy nie było w pobliżu Te, był jak turysta zgubiony w krainie nieznanych uczuć. Rozglądał się bezradnie w poszukiwaniu przewodnika, bojąc się samodzielnie zrobić choć jeden

krok. Mimo to czuł, że w tym dziwnym i nieobliczalnym świecie miłości, w którym tak nieoczekiwanie się znalazł, jest droga także dla niego. W każdym razie miał taką nadzieję. Rozejrzał się dokoła. Widok na ogród zasłaniały mu ciemne skrzydła wątpliwości, które przysiadły na murze i przekrzywiając głowy, patrzyły na Mo uważnie.

– Poszły! – Mo krzyknął i energicznie zamachał rękami. – Poszukajcie sobie innej ofiary!

Wątpliwości i rozterki zerwały się do lotu, głośno kracząc. Krążyły teraz nad chłopcem niespokojnie, zataczając wąskie kręgi. Chłopiec zeskoczył z muru i zaczął szybko iść w kierunku parku. Wątpliwości, niezadowolone z takiego obrotu sprawy, znikały w powietrzu jak pękające po zbyt długim locie mydlane bańki. Kiedy chłopiec był w połowie dystansu dzielącego go od parku, drogę przeciął mu samochód z mlecznymi szybami z tyłu i niewielkim znakiem czerwonego krzyża na burcie. Mo znał takie pojazdy. Podobne odwoziły na badania i zabiegi do szpitala jego dziadka oraz przywoziły go stamtąd. Szpitalny samochód zatoczył koło wokół pętli tramwajowej i zatrzymał się w pobliżu ławki Cuchnącego. Mo nie widział dokładnie, kto z niego wysiada, bo widok zasłoniły mu brezentowe dachy bud targowych. Przyśpieszył kroku. Niestety, im bliżej było pętli, tym tłum ludzi bardziej gęstniał. Mo poruszał się jak pływak zanurzony w stygnącej galarecie. Kiedy wreszcie dopłynął na miejsce, z radości mało nie krzyknął. Obok charakterystycznej postaci Cuchnącego zobaczył Te. Mo zbliżał się do nich

powoli, ukryty za kolorowymi parasolami handlujących tam ludzi.

Kiedy był już blisko, usłyszał, jak Cuchnący pochylony nad Te pytał o coś, ale zgrzyt ruszającego tramwaju zagłuszył większość jego słów i odpowiedź dziewczynki. Do Mo, choć wyteżał z całej siły słuch, dotarła tylko jej część: „Niedługo sam się domyśli”. Reszta słów zginęła porwana przez wartki nurt ulicznej wrzawy.

Po chwili Cuchnący podniósł się z ławki, uśmiechnął się do Te i pocałował ją w czoło.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Jeszcze chwilę tu posiedzę i nabiorę sił. Potem postaram się odszukać Mo – odpowiedziała Te.

Cuchnący skinął głową i odwrócił się w kierunku nasłuchującego Mo. Chłopiec zanurkował między stragany. Cuchnący jeszcze przez chwilę wpatrywał się w miejsce, gdzie przed sekundą zniknął Mo, po czym odszedł pośpiesznie. Chłopiec ostrożnie wystawił głowę. Te siedziała nieruchomo, wpatrzona przed siebie. Wyglądała jak figura odlana z brązu. Jej twarz poszarzała, przypominając maski ludzi z antycznych miast odcisnięte w wulkanicznym pyłe. Ponczo w trudnym do określenia ziemistym kolorze również sprawiało przygnębiające wrażenie. Wokół roznosił się trudny do zidentyfikowania nieprzyjemny zapach, uparcie kojarzący się Mo z samochodem, który go minął. Po chwili z wyraźnym wysiłkiem Te podniosła się i zaczęła iść w kierunku kasztanowca. Mo rzucił się do biegu. Nadrabiając drogi, dopadł do kasztanowca i położył się na

trawie. W samą porę. Zza drzew wynurzyła się już Te. Na widok Mo wyprostowała się, a na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Poprawiła torbę i podeszła do Mo. Z ulgą usiadła obok niego na trawie i spytała przeprasząc:

– Długo czekałeś?

Mo gwałtownie zaprzeczył.

– Bardzo przyjemnie mi się tu siedziało – odparł ze sztucznym uśmiechem. – Naprawdę – dodał, widząc na twarzy Te niedowierzanie. – Tyle się tu dzieje, nie można się nudzić.

Te potoczyła wzrokiem po okolicy. W najbliższym sąsiedztwie siedział tylko starszy mężczyzna, czytając poradnik brydżowy i zerkając na nich znad książki.

– Ach tak – powiedziała z rozbawieniem. – Bez wątpienia masz tu ubaw po pachy. A mówiąc o wątpliwościach – jej rozbawienie już zniknęło – widziałam ich czarne cielska krążące nad ogrodem. Masz z tym coś wspólnego?

– Ależ skąd! – Mo zerwał się na równe nogi i odwrócił głowę. Zaczął gorączkowo otrzepywać spodnie. – To co, zostajemy czy idziemy?

Te podniosła się powoli.

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego się spóźniłam? – zapytała.

Chłopiec pokręcił głową.

– Powiesz mi, kiedy będziesz chciała. A na razie poniosę ci torbę. – Mo zerwał ją prawie z ramienia Te.

– Zostaw! – Dziewczynka wcale nie zamierzała się z nią rozstawać.

Szamotali się tak przez chwilę, budząc zainteresowanie pana od poradnika brydżowego. W końcu Te musiała skapitulować.

– Dobrze, ale tylko do muru – powiedziała zasapana.

– Skąd ten pomysł z torbą? – zapytała podejrzliwie, kiedy szli w kierunku ogrodu. – Na pewno czekałeś na mnie pod kasztanowcem?

Mo nie odpowiedział. Szedł przodem, lekko pochylony pod ciężarem torby. W milczeniu doszli do muru. Tym razem to chłopiec był pierwszy na górze. Pochylił się i podał rękę Te.

Kiedy Te z niemałym wysiłkiem wdrapała się na górę, Mo odwrócił się w stronę drzew i wskazując na Te, krzyknął:

– Teraz dobrze?

Ogród odpowiedział mu radosnym gwarem. Te uśmiechnęła się szeroko.

– Miło jest wiedzieć – poprawiła zsuwające się z ramion ponczo – że ktoś na ciebie czeka... Oczywiście oprócz ciebie – dodała zaraz, widząc minę Mo.